

Emilia Becker

PREZENT OD PANA JULIANA



Emilia Becker

Prezent od pana Juliana

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2022

Emilia Becker
„Prezent od pana Juliana”

Copyright © by **Emilia Becker, 2022**
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2022**

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie
może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**
Projekt okładki: **Robert Rumak**
Ilustracja na okładce: **Krzysztof Kałucki**
Skład epub, mobi i pdf: **Kamil Skitek**

ISBN: 978-83-8119-935-3

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

1938

Odkąd Zosia dowiedziała się, że pan Julian, który odwiedza profesora, to słynny poeta, bardzo chciała go zobaczyć, choćby przez szparkę w drzwiach.

- Nazywa się Tuwim – tyle tylko wiedziała mama Zosi, która była służącą u profesora i jego żony. Wypowiedziała te słowa bezbarwnie, pocierając muślinowy szlafrok profesorowej o falistą tarę, zanurzoną w wiadrze z mydlinami.

Zosia nigdy nie zauważyła, by szeroką, poważną twarz jej mamy rozjaśnił uśmiech czy zachwyt. Na mamie nie zrobiło wrażenia nawet to niezwykle nazwisko. Tuwim! A przecież brzmiało jak śpiew ptaka. Trudno wyobrazić sobie nazwisko, które bardziej pasowałoby do poety. Było magiczne.

Zresztą, jak prawie wszystko w mieszkaniu profesorostwa, na pierwszym piętrze nowiutkiej kamienicy, przy ruchliwej ulicy dużego miasta.

To, że wraz z mamą tutaj trafiły, zawdzięczały przypadkowi. A właściwie lokomotywie. Ale nie tej, o której pan Julian napisał wiersz. O niej też będzie, ale później.

Historia ta rozpoczęła się w 1938 roku, w śnieżny i mroźny grudniowy dzień. Nagłówki w gazetach ostrzegały, że temperatura przed Gwiazdką może spaść do minus piętnastu stopni. Po raz pierwszy, odkąd Zosia pamiętała,

przyjęła tę wiadomość ze spokojem. Tego roku nie musiały się z mamą bać o to, jak przetrwają tę zimę i czy wystarczy im na komorne. Od kilku miesięcy mama pracowała w kuchni dworcowego bufetu. Właściciel pozwolił jej i Zosi zamieszkać kątem na zapleczu restauracji. Choć była to ciasna izdebka bez okien, doceniały to, że wreszcie nie muszą się tułać.

Stacja mieściła się w prowincjonalnym miasteczku, jednak zatrzymywały się na niej pociągi zmierzające do wielkiego miasta. Przed odjazdem takiego pociągu w poczekalni kłębił się tłum podróżnych, a wszystkie stoliki były zajęte.

Właściciel bufetu, człowiek o wiecznie zmarszczonych brwiach, groźnie podwiniętym wąsie i skrzekliwym głosem wpadał wtedy do kuchni tylko po to, by poganiać kucharzy. Mamie Zosi zawsze w takich chwilach wypominał, jak wiele dla niej zrobił.

Tamtego grudniowego dnia 1938 roku z powodu śniegu, który grubą warstwą przykrył tory, pociąg do miasta zatrzymał się na dłużej. Część podróżnych, zmęczonych czekaniem, aż pług kolejowy odśnieży trasę, postanowiła zaspokoić głód w dworcowym bufecie.

Właściciel biegał od stolika do stolika i co chwilę rzucał na kuchenny blat plik karteczek z zamówieniami.

- Tyle? – jęknęła mama Zosi.

- To dopiero początek. I pamiętaj, że mógłbym wynająć komuś ten kąt! – właściciel pomachał mamie palcem przed nosem.

W restauracyjnej kuchni tasaki i noże raz po raz uderzały o blat. Kucharze czerpali sosy z wielkich mis i mieszały drewnianymi łyżkami w olbrzymich garach. Zosię, jak zwykle w chwilach dużego ruchu, wszyscy odpędzali. Ale wcale się tym nie martwiła. Mogła robić to, co lubiła najbardziej. Podpatrywać klientów przez uchylone drzwi. A było na co popatrzeć. Tym razem, zamiast podróżnych w kożuchach i baranicach, w restauracji zagościła wielkomiejska rewia mody.

Ostatnie wolne miejsce przy stoliku blisko kuchennych drzwi zajęła wytworna para. Zosia nie mogła oderwać wzroku od eleganckiej brunetki o zgrabnej sylwetce i okrągłej twarzy. Kobieta zdjęła futrzaną czapkę w kształcie ściętego stożka, a następnie zerknęła w posrebrzane lustro, by poprawić podczesane gładko i upięte wysoko włosy. Jej gesty były tak płynne, jakby poruszała się w takt melodii.

Zsunęła z ramion miękkie futro i powolutku, palec po palcu, ściągała pięknie wykrojone skórzane rękawiczki. Następnie oparła podbródek na splecionych dłoniach i wpatrywała się w jakiś punkt przed sobą ogromnymi, błyszczącymi oczami. Lekko uniesiona linia brwi nie wyrażała zniecierpliwienia, raczej wyższość. Wydawało się, jakby kobieta pograżyła się we własnym świecie, do którego nie docierał ani bufetowy harmider, ani komunikaty zawiadamiające o przedłużającym się opóźnieniu pociągu.

Niewysoki mężczyzna o szczupłej twarzy i bystrym spojrzeniu, który usiadł obok niej, przywiązywał dużo

mniejszą wagę do szczegółów. Rzucił na stolik ciemny kapelusz, a podbity futrem płaszcz niedbale powiesił na oparciu krzesła. Okulary o małych, okrągłych oprawkach podsunął w kierunku nasady nosa i rozłożył gazetę. Szybko wodził wzrokiem po nagłówkach i przerzucał strony, w poszukiwaniu interesującego artykułu. Brunetka dotknęła jego dłoni czubkiem palców, a on spojrzał na nią ciepło, choć przelotnie i wrócił do lektury. Kiedy kelner podszedł do ich stolika, Zosia szybko odsunęła się od drzwi, żeby wytworni państwo jej nie zauważyli.

W kuchni na patelniach skwierczały befsztyki, a w rondlu z wywarem bulgotały flaki. Z namoczonej bułki, mielonego mięsa i posiekanej pietruszki mama Zosi formowała pulpeciki. Za jednym zaledwie dotknięciem jej dużej dłoni powstawały identyczne kuleczki. Wrzucała pulpety do wywaru, a gdy były gotowe, przelewała porcje do kamiennych garnków, posypywała wiórkami sera i zapiekała w piecu. Kiedy wychodziło stamtąd pyszne danie, ukryte pod złotą serową pierzynką, mama przyprawiała je majerankiem.

Przepisu nauczyła się w młodości, gdy służyła w wiejskim majątku, a tutaj, w dworcowym bufecie jej flaki stały się przysmakiem klientów. Pod dworzec zajeżdżali nawet mieszkańcy okolicznych miast tylko po to, by posmakować pysznego, swojskiego dania.

Zainteresowanie było tak duże, że z czasem dwaj pozostali kucharze obsługiwali inne zamówienia, a mama przyrządzała głównie flaki. Tego grudniowego dnia jak

zwykle miały największe wzięcie. Mama Zosi wyjęła właśnie z pieca kilka kamiennych garnuszków, gdy nagle podszedł do niej właściciel restauracji. Jego bardziej niż zwykle zmarszczone brwi nie zwiastowały niczego dobrego.

- Idź i wytłumacz im, z czym są te flaki – rzucił groźnie.

Zosia zamarła. Czyżby komuś nie smakowały? A jeśli z tego powodu będą musiały opuścić swoją izdebkę? Gdzie znajdą jakiś ciepły kąt?

Mama Zosi wytarła ręce w fartuch. Dziewczynka przywarła do drzwi. Miejscem, które wskazał mamie właściciel, był stolik, przy którym siedziała para, jaką Zosia wcześniej obserwowowała. To mężczyzna w okrągłych okularach zamówił porcję flaków. Brunetka popijała jedynie kawę.

Mama stanęła przy stoliku z pochyloną głową. Nie śmiała odezwać się pierwsza.

- Czy mogłabym poznać recepturę tego dania? – spytała spokojnym głosem elegancka kobieta.

Mama Zosi zmarszczyła brwi, jakby próbowała odgadnąć, czego sobie życzy ta pani z wielkiego miasta.

- Jeśli flaki są niedoprawione, to bardzo przepraszam – wykrztusiła w końcu.

- Nie! – zaprotestował mężczyzna. – Są doskonałe.

- Mąż jest zachwycony – potwierdziła wytworna brunetka, unosząc w uśmiechu kąciki ust.

Z prostokątnej torebki z małą rączką wyjęła notes i wyrwała z niego kartkę. Jej mąż wydobył z wewnętrznej

kieszeni marynarki błyszczące pióro.

- Proszę zapisać tu recepturę – powiedziała pani, wręczając mamie Zosi kartkę i pióro. – Przekażę mojej gospodyni.

Mama wzięła do rąk karteczkę i uparcie się w nią wpatrywała. Nie potrafiła pisać. Elegancka pani czekała, z podbródkiem opartym na dłoni. W końcu wyjęła spomiędzy palców mamy poplamioną tłuszczem kartkę.

- Rozumiem, tajemnica. A tak chciałabym, by mój mąż częściej jadał te flaczki. Szkoda, że nasza gospodyni nie potrafi gotować tak jak... - spojrzała pytająco na mamę.

- Bronka – przedstawiła się.

- Jak Bronka – dokończyła wytworna pani. – Gdzie się Bronka nauczyła tak gotować?

- Służyłam w majątku – odpowiedziała krótko, zmieszana tą dziwną rozmową, która nie wiadomo, dokąd prowadziła.

- W majątku... - powtórzyła elegantka. – Doskonale! I co tam Bronka przyrządzała?

Mama Zosi spojrzała na nią wylęknionym wzrokiem. Zosia również nie miała pojęcia, dlaczego tę nieznaną panią interesuje poprzednia posada mamy.

- Na śniadanie bułeczki podawało się z plastrem miodu – zaczęła nieśmiało mama, po czym wymieniała nazwy kolejnych dań, które przyrządzała wiele razy. - Czasami były drożdżowe rogaliki. I jeszcze szynka wędzona na jałowcu. Na obiad rosół, w którym nie mogło być ani jednego oczka. Albo krupnik, a latem chłodnik. Potem

sznycel cielęcy albo pieczeń barania z tłoczonymi ziemniakami...

- A kotlety siekane z buraczkami? – przerwał mężczyzna. Dopiero teraz Zosia zauważyła, że przysłuchiwał się temu, o czym mówiła mama z rozmarzonym wzrokiem.

Wytworna pani pokręciła głową i uśmiechnęła się do męża.

- Kotlety z buraczkami... Cóż za upodobania! Pewnie do szczęścia potrzeba ci jeszcze kwaśnego mleka?

Mama Zosi zmieszała się i znów zaczęła miętosić rąbek poplamionego fartucha. Wyglądało na to, że eleganccy państwo stroją sobie z niej żarty.

- No więc jak, kwaśne mleko też Bronka podawała? – dopytywała elegantka.

Mama kiwnęła głową.

- Zimne i gęste, czerpane chochlą z kamiennego gara... – dokończył za nią mężczyzna i przymknął oczy, jakby poszukiwał w pamięci jakiegoś wspomnienia.

- A na deser? – dopytywała elegancka pani. Najwyraźniej lubiła słodkości.

- Latem były poziomki albo maliny ze śmietaną.

- A w inne pory roku?

- Krem karmelowy, tort hiszpański...

- A widzisz! Nie taka prosta ta wiejska kuchnia. Tort hiszpański. Twój ulubiony deser – uśmiechnął się do żony mężczyzna.

- Ach, ta bita śmietana i konfitury obłożone bezowymi paluszkami to prawdziwe dzieło sztuki – przyznała jego żona. - Nie mam innego wyjścia. Proponuję Bronce posadę gospodyni w naszym domu!

Uroczystym tonem elegancka brunetka podkreśliła, jak atrakcyjna jest jej propozycja. Mężczyzna natychmiast otworzył oczy. Ręce mamy zastygły na zmiętoszonym fartuchu. Chyba nikt nie spodziewał się, że do tego zmierzają pytania.

- Ależ, Jadwiniu, o czym ty mówisz? Przecież mamy gosposię – powiedział jej mąż z naciskiem na słowo „mamy”.

- To się tę Hanke zwolni – odpowiedziała żona, akcentując z tym samym naciskiem słowo „zwolni”.

- Tuż przed świętami? Tak nie można!

Pani Jadwiga dotknęła dłoni męża.

- Rozumiem, Kazieńku, że na wsi przyjaźniliście się z służbą, ale...

- Pracowali u nas od pokoleń – przerwał mąż, cofając dłoń. – W dzieciństwie urządzaliśmy z rodzicami wigilię dla kucharzy, służących i ogrodników. Z każdym z osobna łamaliśmy się opłatkiem.

- No właśnie. A w mieście jest inaczej – ucięła pani Jadwiga. Zosia zauważyła, że w jej oczach zabłyśły iskry.

- Jadwiniu, ja też mieszkam w mieście od wielu lat, jakbyś zapomniała. I nieważne, czy w mieście, czy na wsi, tak się nie robi. Już trzeci raz w tym roku zwalniasz

gosposię! A teraz jeszcze, w dodatku, przed świętami – pan Kazimierz pokręcił głową.

- Gdyby któraś z tych kobiet potrafiła tak gotować jak Bronka, zostałyaby u nas na dłużej. Zresztą, czy nie widzisz, że robię to dla ciebie? Chcę, żebyś jadał wyśmienite obiady.

- Naprawdę nie trzeba. Ścierpię gorsze flaczki, ale nie wyrzucę kobiety na bruk tuż przed świętami!

Pani Jadwiga uniosła wysoko brwi.

- Dobrze już, dobrze. Polecę Hankę mojej przyjaciółce. Szukała służącej. A Bronka pojedzie z nami – powiedziała spokojnym, ale nie znoszącym sprzeciwu tonem.

Zosia, która przysłuchiwała się rozmowie, nie miała pojęcia, co się święci. Ta wytworna pani chciała dokądś zabrać jej mamę?

Pan Kazimierz milczał, pochłaniając resztkę potrawy.

- I widzisz, teraz możesz mieć co dzień takie pyszności – triumfowała żona.

- Niech ci będzie – odparł mąż, po tym, jak przełknął ostatni kęs. - Ale tylko pod warunkiem, że twoja przyjaciółka zatrudni Hankę.

Zosia nie potrafiła dłużej tkwić w ukryciu. Podbiegła do stolika i objęła mamę w pól.

- A to kto? – spytała pani Jadwiga.

- Moja córka, szanowna pani – powiedziała mama – Nigdzie się bez niej nie ruszam.

- No i cóż? Nadal masz ochotę zmienić gosposię? – spytał pan Kazimierz, naśladowując triumfalny ton żony.

Zosia nie puszczała spódnicy mamy. Pani Jadwiga zaczęła gnieść splecione pod podbródkiem palce. Chyba się wahała. Wiadomość o tym, że musiałyby przyjąć pod swój dach także dziewczynkę, zbiła ją z tropu. Okazało się, że była zbyt dumna, by się poddać.

- Tak. Zamieszka... ją u nas – powiedziała.

Zosia nie miała pojęcia, dokąd miały pojechać i gdzie zamieszkać. Jednak ta nagła propozycja pracy wcale nie ucieszyła jej mamy. Nic dziwnego. Tutaj, w restauracji, dzięki swoim pysznym flaczkom miała skromny, ale pewny kąt. A co mogło ją czekać w domu pani, która zwolniła w tym roku trzy służące?

Takich jak ona nikt jednak o zdanie nie pytał. Właściciela bufetu – już tak.

- Pani dobrodziejko, chce mi pani zabrać najlepszą kucharkę? – kręcił głową, nerwowo podkrecając wąsa.

Pani Jadwiga wręczyła mu kilka dużych rdzawo brązowych banknotów.

- Tyle wystarczy? – spytała.

- Czy ja wiem... - właściciel próbował się targować. - Na jej flaczki zjeżdżają tu ludzie z innych miast.

W tym momencie w sali restauracyjnej zapanowało poruszenie. Pociąg był gotowy do odjazdu.

- Niech będzie – właściciel machnął ręką i wyrwał banknoty z ręki pani Jadwigi.

Mama Zosi nie musiała nawet pakować rzeczy. Owinęła tylko w koc tobołek, który cały czas leżał w kącie izdebki.

Pozostało jej to przyzwyczajenie z czasów, gdy musiały opuszczać pokój w kilka minut.

Na słabo oświetlonym peronie rozlegało się już sapanie lokomotywy. Przypominała łeb żelaznego potwora, a jej reflektory błyszcząły groźnie niczym smocze oczy. Z komina z sykiem wydobywał się kłęb pary, malując szarą wstęgę na czarnym niebie.

Tuż nad uchem Zosi rozległ się ostry, przeraźliwy gwizd. Dotychczas w dworcowej kuchni słyszała go bardzo często, lecz nie wiedziała, skąd się wydobywa. Teraz zauważyła, że stojący obok mężczyzna w mundurze i czerwonej czapce dmucha w gwizdek i podnosi ramię, po czym wyjmuje z ust gwizdek i opuszcza rękę. Drzwi przedziałów trzaskały. Pociąg miał zaraz ruszyć.

- Pospieszmy się! – powiedział profesor, po czym objął żonę ramieniem i pomógł jej wspiąć się po schodach do wagonu, a mama podsadziła Zosię.

Profesor rozsunął drzwi przedziału. Mama zajęła miejsce naprzeciwko profesorowej, a Zosia - profesora. Z peronu rozległ się jeszcze jeden gwizd i wielkie stalowe koła potoczyły się po torach. Za oknem zaczęły przesuwać się, a potem migać coraz szybciej zaśnieżone pola, wykończone linią posrebrzanych jodeł.

Profesor pogrążył się w lekturze gazety, której czytanie rozpoczął w restauracji. Profesorowa rozpięła płaszcz, kapelusz położyła na blaciku pod oknem, po czym sięgnęła do torebki po zielonkawe puzderko. Wyjęła z niego okrągłą, płaską gąbeczkę i przypudrowała sobie nos. Po chwili

spojrzała na mamę Zosi, jakby nagle przypomniała sobie o jej obecności. Na Zosię zupełnie nie zwracała uwagi.

- Musimy się jeszcze przemęczyć – westchnęła. - Luxtorpeda to nie jest. Ani nawet kurier do Wiednia. Ale do domu już niedaleko. Przepraszam, nie przedstawiliśmy się nawet. Nazywam się Jadwiga Dobrowolska, a to mój mąż, profesor Kazimierz Dobrowolski.

Mąż pani Jadwigi skinął głową. Zosia spojrzała na niego z jeszcze większym szacunkiem. Nie знаła wprawdzie żadnego profesora, ale uważała, że to musi być ktoś bardzo ważny.

- Mieszkamy w nowiutkiej kamienicy, wybudowanej w tym roku – kontynuowała pani Jadwiga. - Wprowadziliśmy się kilka miesięcy temu. Gaz, ciepła woda, centralne ogrzewanie. Zresztą, co ja będę mówiła, to chyba normalne w naszych czasach. I co dla Bronki ważne, służbówka jest jasna. Okna wychodzą na ulicę, nie na podwórze.

Zosia słuchała ze zdziwieniem. Kamienica? Służbówka? I czy to ważne, na którą stronę wychodzą okna?

Profesorowa uznała, że ta krótka wymiana zdań z nową służącą w zupełności wystarczy. Wyjęła z torebki notes i pióro i zaczęła w nim coś zamasyście zapisywać. Co jakiś czas przerywała pisanie, mrużyła oczy i znów wracała do notatek.

Zosia przyjrzała się okładce gazety, którą czytał profesor. Choć miała już prawie dziewięć lat, nie potrafiła płynnie czytać. Z powodu przeprowadzek często zmieniała szkoły, a czasami całymi miesiącami nie uczęszczała na lekcje.

Jednak czarne znaczki na papierze bardzo ją fascynowały i dlatego korzystała z każdej okazji, by ćwiczyć czytanie.

„Wia-do-mość-ci Li-te-rac-kie” przesylabizowała w głowie tytuł gazety. Lekko uniosła głowę, by zobaczyć, co znajduje się na kolejnych kartkach. Były gęsto zapisane drobnym pismem, którego nie potrafiła odcyfrować.

Nagle profesor podsunął żonie gazetę i odczytał na głos:

- Posłuchaj tego: „Angielskiego opanujesz gruntownie najszybciej Joego Kleinmana, autora *Do you speak English.*”

Pani Jadwiga uśmiechnęła się.

- A komentarz? – spytała.

- „Angielskiego i Joego może opanujesz. I Kleinmana opanujesz. I autora. Wszystkich opanujesz. Tylko polskiego już nie opanujesz. *Never more.*”

Profesor wybuchnął śmiechem.

- Ach, ten Julian! – pokręcił głową.

- Skąd wiesz, że to on?

- Redaguje tę rubrykę. Mówił mi, że ślęczy całymi godzinami nad starymi wydaniem czasopism, by wyłowić jakiś zabawny błąd albo celny dowcip. Niektórzy twierdzą, że marnuje talent na takie brednie. A on z kolei twierdzi, że musi ciągle w coś wertować, szperać, dłubać. Już od dzieciństwa kolekcjonował słowa z różnych języków, które zachwyciły go brzmieniem.

- Tak? To ciekawe – zainteresowała się pani Jadwiga.

- Mówi, że od zawsze musiał mieć jakiegoś bzika. Pokazywał mi te swoje młodzieńcze kajety, zapisane kolumnami takich słów. Podobno zbiera je do dziś. Uważa, że nawet człowiek, który nie zna jakiegoś dźwięku, może czerpać przyjemność z jego słuchania.

- To prawda – szepnęła zasłuchana pani Jadwiga. – W wierszach Juliana słowa są jak nuty.

- Więc rozumiesz, po co mu to szperactwo. Ale zupełnie nie pojmuję, dlaczego taki wielki poeta pisze wiersze dla dzieci...

Pani Jadwiga odchyliła się i zmarszczyła brwi.

- A ja zupełnie nie rozumiem, dlaczego wy, profesorowie literatury, chcielibyście dyktować poetom, co, jak i kiedy powinni tworzyć. Wydawać werdykt, co im się udało, a czego nie powinni się tknąć. Uważacie, że macie do tego prawo?

Choć te słowa zabrzmiały jak oskarżenie, profesor tak ich nie odebrał, bo ukradkiem się uśmiechnął. Najwyraźniej był przyzwyczajony do takich rozmów z żoną.

- Gdybym nie korzystał z tego prawa, pewnie nie byłbym profesorem. Ale jakoś bym to przeżył. Gorzej z tobą. Przecież uwielbiasz być profesorową.

Pani Jadwiga się rozchmurzyła.

- Julianowi w dowcipie nie dorównujesz, ale...

- Bardziej ci się podobam.

- Niech ci będzie. Chociaż Julian jest czarujący. I ma ogień w oczach.

- To ogień prawdziwego talentu – przytakną jej mąż. -
I dlatego nie powinien go marnować na wiersze dla dzieci.

- Słabych wierszy nie wydrukowałiby na pierwszej stronie „Wiadomości Literackich” – obstawała przy swoim pani Jadwiga. – Nie słyszysz, że ten pociąg jedzie w rytm „Lokomotywy” Juliana? *A dokąd? A dokąd? A dokąd? Na wprost! Po torze, po torze, po torze, przez most...*

Zosi wydawało się, że słowa, które wyrecytowała, rzeczywiście wpadły w stukot kół pociągu. Natomiast profesora zainteresowało coś innego:

- Czytujesz „Wiadomości”? No, no! Myślałam, że wolisz „Moją Przyjaciółkę”.

- To akurat zupełnie nie było dowcipne. Jeśli już, to „Przegląd Mody”. A „Przyjaciółkę” czytam tylko po to, żeby wiedzieć, czego wymagać od służącej.

- Nic dziwnego, że ciągle ją zmieniasz.

- Po prostu wiem, czego szukam – powiedziała z naciskiem, po czym zerknęła na mamę Zosi, która siedziała z pochyloną głową i tobołkiem ściśniętym na kolanach. Zosi udzieliła się niepewność mamy. Czy sprostają wymaganiom tej pani?

- O, już się zbliżamy – oznajmiła profesorowa.

Rzeczywiście, zaśnieżone pola ustąpiły miejsca początkowo niskim, a z czasem – coraz wyższym domom. Pociąg wtoczył się na peron. Podróżni wysypali się na zewnątrz i wmieszali w tłum ludzi objuczonych wiklinowymi

walizami, okrągłymi pudłami i obwiązanymi rzemykiem pakunkami.

- Numerowy! – krzyknął profesor.

I, jakby na słowa zaklęcia, stanął przed nimi kościsty wąsaty mężczyzna w czapce z daszkiem. Profesor wręczył mu kwit, a wąsaty chudzielec zniknął w tłumie.

- Przecież nawet na nas nie spojrzał. Czy nas rozpozna? – zastanawiała się profesorowa.

- To jego fach. Jakby miał nas nie rozpoznać? – uspokajał ją mąż.

- Najbardziej martwię się o moje kapelusze – westchnęła profesorowa.

Zosia, rozglądając się wokół, zrozumiała obawy profesorowej. By przetrwać w dworcowym tłoku, każdy musiał dbać tylko o siebie. Ktoś, głośno pokrzykując, spuszczał tobołek przez okno. Maleńkie dziecko popłakiwało w ramionach matki. Kobiecinie otulonej chustą rozerwało się ucho od kosza z jabłkami. Owoce poturlały się pod koła wózka nakrytego workiem. Ciągący wózek mężczyzna w czarnej kapocie pogroził pięścią kobiecie.

Wąsaty chudzielec znów pojawił się nagle, jak za dotknięciem różdżki. Taszczył duży prostokątny kufer, a drugi – mniejszy i kwadratowy – trzymał pod pachą. Ruszyli przed siebie, wtapiając się w głośny tłum. Mama objęła Zosię, by się nie zgubiła. Dziewczynka nie mogła oderwać wzorku od różnokolorowych nalepek na kufrze.

Widniały na nich obco brzmiące nazwy i ryciny przedstawiające nieznane krajobrazy.

Przed budynkiem dworca czekały w rzędzie błyszczące taksówki. Wyglądały jak karoce bez koni. Mimo mrozu szoferzy czekali przed wozami na pasażerów i głośno ze sobą dyskutowali. Kiedy jeden z nich zauważył zbliżających się podróżnych, natychmiast wskoczył do swojego samochodu i zajął drogę pierwszemu w kolejce samochodowi.

Właściciel wyprzedzonego auta wychylił się przez okno.

- E, ty, strzelec! – krzyknął. Uspokoił się dopiero, gdy profesor uchylił drzwi jego taksówki.

- Moje uszanowanie – powiedział, uchylając czapki.

Pani Jadwiga i pan Kazimierz zajęli miejsca na tylnym skórzanym siedzeniu. Jednak mama trzymała Zosię kurczowo za rękę i nie mogła się przemóc, by przekroczyć próg samochodu.

Profesorowa opatulila się szczelniej futrem.

- Niechże Bronka wsiada! Taki ziąb na zewnątrz – popędzała.

Mama ukradkiem się przeżegnała, wzięła głęboki oddech i weszła do środka. Szofer odwrócił się w jej kierunku.

- A paniusia to by pewnie wolała dorożką? – zagadnął. – Niektórzy za nic nie wsiądą do taksówki, bo im się w głowach kręci. Ale u mnie pasażer czuje się, że tak powiem, jak dziecko w kołysce. Choćbym miał kierownicę trzymać w zębach! – zaśmiał się głośno.

Koniec Wersji Demonstracyjnej